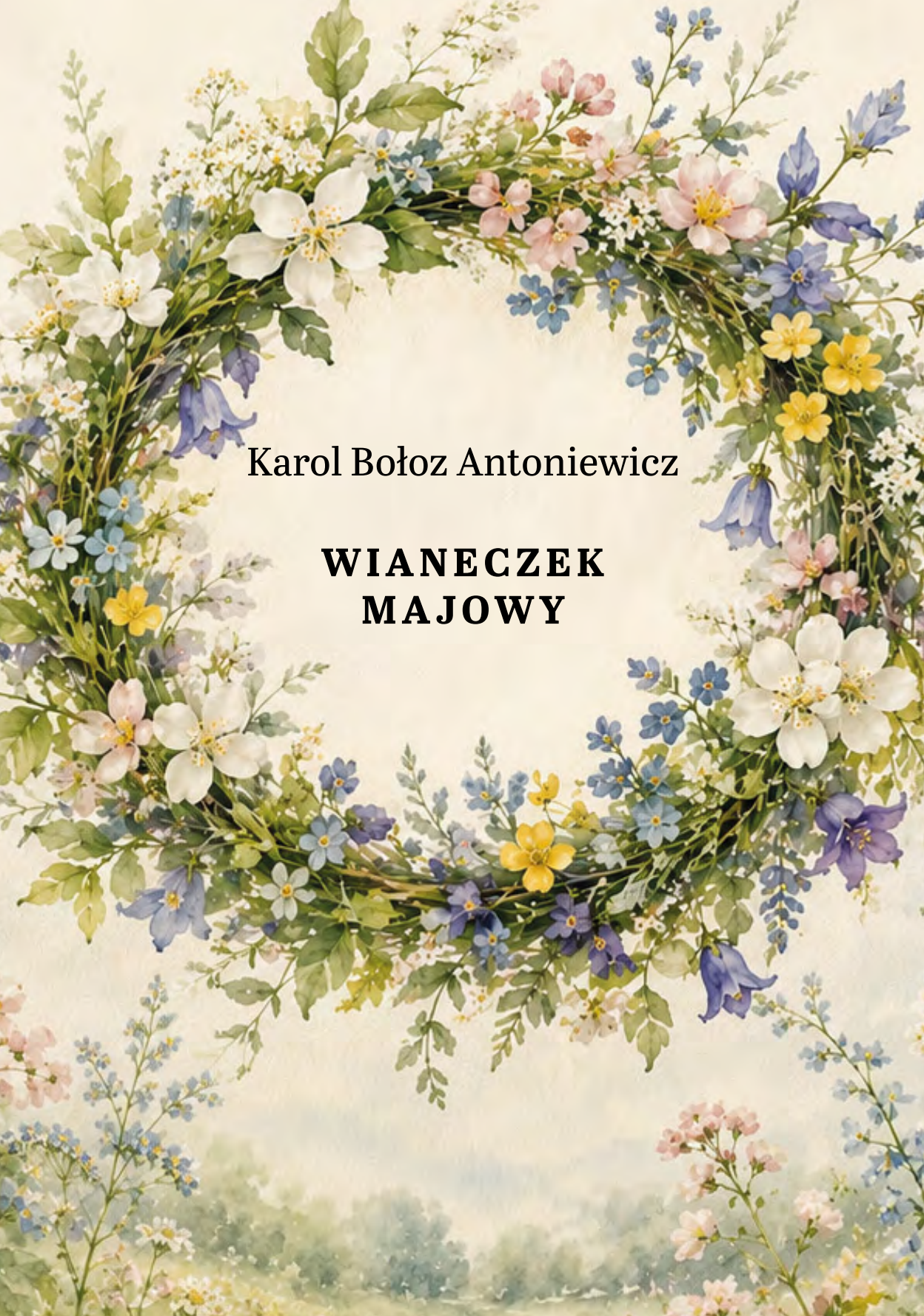

Karol Bołoz Antoniewicz

WIANECZEK MAJOWY

WIANECZEK MAJOWY

Fundacja im.
Władysława Orkana

Seria PRZYPOMNIENIA, pod redakcją Tadeusza Skoczka

1. Wacław Sieroszewski, *Józef Piłsudski* [wyd. oryg. Departament Wojskowy NKN, Piotrków Trybunalski 1915], wstęp i komentarze Jolanta Załeczny, Oficyna Wydawnicza ASPRA JR, Warszawa 2018;
2. Adam Mickiewicz, *Ballady i romanse* [reprint, wyd. oryg. Józef Zawadzki, Wilno 1822], Wydawnictwo Attyka, Kraków 2022;
3. J. Grabiec [wł. Józef Dąbrowski], *Powstanie Styczniowe 1863-1864* [reprint, wyd. oryg. J. Mortkowicz, Warszawa 1921], Wydawnictwo Naukowe Muzeum Niepodległości (dalej WN MN), Warszawa 2023;
4. August Sokołowski, *Powstanie Styczniowe 1863-1864* [reprint, wyd. oryg. Franciszek Bonda, Wiedeń 1913],WN MN, Warszawa 2023;
5. Mieczysław Gawlik, *Powstanie Styczniowe* [reprint, wyd. oryg. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Lwów 1925], WN MN, Warszawa 2023;
6. *Wojciech Bogumił Jastrzębowski. Polak-prekursor zjednoczenia Europy* [zwiera reprint *Konstytucji dla Europy* oraz teksty: Tadeusz Skoczek et al], WN MN, Warszawa 2023, następne wydania 2024, 2025;
7. Lucjan Żeligowski, *Bitwa pod Radzyminem* [reprint rozdziału z publikacji *Wojna w roku 1920. Wspomnienia i rozważania*, wyd. oryg. Instytut Badania Najnowszej Historii Polski, Warszawa 1930], wprowadzenie Tadeusza Skoczka *Bitwa pod Radzyminem we wspomnieniach obrońcy*, WN MN, Radzymin-Warszawa 2023;
8. Władysław Orkan, *Wskazania* [reprint wyd. oryg. Wydawnictwo Związku Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych oraz Związek Podhalan, 1930, zawiera m.in. *Wskazania dla synów Podhala*, ogłoszone w Czarnym Dunajcu 13 sierpnia 1922], WN MN, Warszawa 2024;
9. Wojciech Skuza, *Kumac. Poemat chłopski z roku 1794* [reprint, wyd. oryg. Dom Ludowy „Wisła", Kraków 1933], posłowie Tadeusza Skoczka, Wydawnictwo „Attyka", Kraków 2024;
10. Adam Mickiewicz, *Pan Tadeusz* [reprint, wyd. oryg. Aleksander Jełowicki, Paryż 1834], Prowincjonalna Oficyna Wydawnicza, Bochnia 2025;
11. Karol Bołoz Antoniewicz, *Wianeczek majowy* [opracowano na podstawie wydań drukarni „Czasu" Kraków 1861 oraz Spółki Wydawniczej Polskiej, Kraków 1895], wstęp i redakcja Tadeusza Skoczka, Mazowiecka Oficyna Wydawnicza, Warszawa 2026.

Karol Bołoz Antoniewicz

WIANECZEK MAJOWY

Najświętszej Boga Rodzicy

MARYI

Wstęp i redakcja
Tadeusza Skoczka

Warszawa 2026

KAROL BOŁOZ ANTONIEWICZ

KAROL BOŁOZ ANTONIEWICZ
PIEŚNIARZ MAJOWY

Był wybitnym intelektualistą, jezuickim zakonnikiem, znanym kaznodzieją, płodnym poetą. Jego pieśni do dzisiaj śpiewane są w kościele katolickim, często jako anonimowe.

Przyszedł na świat we Lwowie, 6 listopada 1807 roku w rodzinie o ormiańskich korzeniach. Jego ojciec Józef był zamożnym prawnikiem, doktorem obojga praw, wziętym adwokatem. Matka Józefa *de domo* Nikorowicz pochodziła z znanej i poważanej rodziny ze Zboisk pod Lwowem. Członek tej rodziny, Józef Nikorowicz (ur. 1827 w Zboiskach – zm. 1890 w Chyrowie), był twórcą muzyki „Chorału" (*z dymem pożarów...)*, znanej pieśni do słów Kornela Ujejskiego, który w środowiskach patriotycznych XIX wieku uchodził za hymn Polski.

Przyszły poeta edukację początkowo odbierał w domu rodzinnym, we Wiedniu i Lwowie. Szybko opanował język niemiecki. Używano go w domowych rozmowach, na równi z językiem polskim. We wczesnej młodości pisywał wiersze w obu opanowanych dobrze językach. Wykazał też niebywałe zdolności do przyswajania innych języków.

Ojciec w wyniku ciężkiej choroby zmuszony został do rezygnacji z praktyki adwokackiej i przeniesienia się do rodzinnego majątku w Skwarzawie, nieopodal Lwowa. Zmarł w 1823 roku.

Karol, mając 17 lat rozpoczął studia prawnicze we Lwowie, ukończone ze świetnym wynikłem w 1827. Dał się poznać podczas studiów na Uniwersytecie Lwowskim jako wzięty translator, z wielu języków obcych. Tłumaczył głównie artykuły o sztuce oraz wiele utworów literackich. Był też wielkim znawcą ówczesnej współczesnej poezji. Ponadto miał dużą wiedzę o najnowszych trendach w muzyce tworzonej w tamtych czasach.

Szerokie zainteresowania rozwijał we Wiedniu, gdzie przeniósł się po uzyskaniu we Lwowie dyplomu uniwersyteckiego. Szybko został doktorem obojga praw. W stolicy cesarstwa poznał Karolinę Pichler, znaną ówcześnie powieściopisarkę historyczną, prowadzącą w stolicy Austrii modny salon artystyczny. Dedykował jej cykl świeżo napisanych sonetów (zob.: Karol Bołoz Antoniewicz, *Sonety,* zeszyt pierwszy, druk Józefa Schnaydera, Lwów 1828). Przypomnijmy utwór *Miłość,* utwór na wskroś romantyczny.

Jeżeli tylko snem jest nasze życie,
cóż jest miłości słodkie zachwycenie?
Cóż łzy rozkoszy? Cóż każde westchnienie.
Co tkliwsze serca okazuje biciem?

Jeszcze przed Powstaniem Listopadowym odbywa Antoniewicz literacką podróż do Multany i Besarabii. Kresy multańskie to historyczna kraina Rumunii, opisywana i opiewana w ówczesnej literaturze. Starą stolicą Multany (Muntenii) było Târgoviște, miejsce wielu romantycznych podroży. Obecnie największym miastem tej krainy jest Bukareszt.

Ślady tej podróży, po stepach miedzy Dunajem a Karpatami, znajdziemy w polskim poemacie *Bielany* (Lwów 1829) oraz

wydanym po niemiecku zbiorze *Reiselieder*. Ciekawe, poemat poświęcony miejscowości pod Krakowem, nad Wisłą, zawierający zresztą apel o przeznaczeniu środków z zakupu książki na krakowski cel dobroczynny, pisany był w trakcie romantycznej podróży. Wydanie datowane na 1 listopada 1828 roku zawiera już wyraźne watki eschatologiczne. Romantyczna podróż, obcowanie z przyrodą, przemyślenia – kierują poetę ku wątkom ostatecznym, ku teologii.

Dokąd ta ścieżka kręto wiedzie w górę,
pomiędzy skały i gęste krzewiny –
noc szaty swoje zasłała szeroko.
Tu na zachodzie wiatr usunął chmurę,
kulę ognistą łzawe żegna oko,
a tam na wschodzie mkną w obłok ruiny;

(.....)

Masz myśl jedynie błąkać się po dole?
Niechaj się wzbija polotem sokoła,
niechaj po ziemi już dłużej nie błądzi,
gdzie się myśl chwieje, tam niech duch rozsądzi!

Ks. Marek Inglot SJ, w biografii K. B. Antoniewicza stwierdził, że w tym poemacie lirycznym, a także w wydanym w tym okresie niemieckojęzycznym zbiorze poezji, poeta toczy walkę „pomiędzy przekonaniem o marności i znikomości twego świata, a chęcią zakosztowania uciech, radości i pełni życia".

Kolejny tom niemieckojęzyczny *Der Ausflug in die Karpatem,* wydany w tym samy 1829 roku poświęcony jest modnym tematom związanym z romantyzmem. Biograf pisze, że w tych „Piosnkach opiewających karpackie góry i doliny, wodospady, olśniewają

wyobraźnię poety cuda górskiej przyrody, jej czar i urok tak hojnie rozsiany jest ręką Bożą na Pokuciu, koło Delatyna, Nadwornej, Bystrzycy".

Kiedy wybuchło powstanie M. B. Antoniewicz, mający niewiele ponad 20 lat, przystępuje do realizacji „patriotycznego obowiązku". Bierze udział w walkach korpusu generała Józefa Dwernickiego na Podolu i Wołyniu. W kwietniu 1831 roku powstańcy zostają rozbrojeni, ucieka więc przed represjami do Wiednia, następnie do Wenecji.

Szybko jednak wraca do rodzinnych Skwarzaw pod Lwowem, żeni się ze swoją kuzynką Zofią Nikorowiczówną i rozpoczyna życie ziemianina. W rodzinnym dworku zakłada wiejską szkołę oraz przytułek dla chorych i opuszczonych wieśniaków. Antoniewiczowie zostają nauczycielami i felczerami, uczą wiejskie dzieci i leczą mieszkańców okolicznych wiosek. Rodzina szybko się powiększa, rodzi się im pięcioro dzieci, jednak wszystkie umierają w wieku niemowlęcym.

W tej sytuacji małżonkowie przenoszą się do Lwowa. Nie zapominają o działalności charytatywnej, opiekują się chorymi w szpitalu sióstr miłosierdzia. Zofia Antoniewicz umiera lipcu 1839, na gruźlicę, nieuleczalną w owym czasie. Karol, korzystając z sugestii Fryderyka Rinna, poznanego w szpitalu zakonnym jezuity, kaznodziei i malarza – wstępuje do nowicjatu jezuickiego w Starej Wsi pod Brzozowem. Oprócz przewidzianych regułą zadań formacyjnych naucza współbraci języków obcych. Przekłada też na język polski *Historię wygnania Towarzystwa Jezusowego z Portugalii*. W czasie owego dwuletniego nowicjatu pisze też wiersze, między innymi pieśń maryjną *Maryjo! Twoją chcę opiewać chwałę* oraz kolędę *Do Betlejemu pełni radości*. Wieczyste śluby zakonne składa 12 września 1841 roku.

Niemal natychmiast przełożeni wysyłają go na studia filozoficzne do kolegium jezuickiego w Tarnopolu. Kontynuuje studia w Nowym

Sączu, gdzie tworzy znane do dnia dzisiejszego pieśni maryjne: *Biedny kto ciebie nie zna od powicia*, następnie *Chwalcie łąki umajone* oraz *O Maryjo przyjm w ofierze.* Prawdopodobnie u sądeckich jezuitów powstaje też pieśń *Nie opuszczaj nas*.

Nie opuszczaj nas, nie opuszczaj nas,
Matko, nie opuszczaj nas!
Matko, pociesz, bo płaczemy,
Matko, prowadź, bo zginiemy;
ucz nas kochać choć w cierpieniu,
ucz nas cierpieć choć w milczeniu!
Nie opuszczaj nas, nie opuszczaj nas,
Matko, nie opuszczaj nas!

W roku 1844 poeta otrzymuje święcenia kapłańskie i natychmiast rzuca się w aktywną dzielność duszpasterską oraz kaznodziejską. Jezuickie sanktuarium Matki Bożej Pocieszenia (dzisiejsza ulica Piotra Skargi 10) staje się miejscem „apostolstwa wstrzemięźliwości", Antoniewicz walczy w homiliach z pijaństwem ludu.

Dwa lata później Galicją wstrząsają mordy ziemian, nazwane rabacją. Chłopi inspirowani przez austriackiego zaborcę napadają na dwory, paląc, rabując i mordując. Jezuici już od kwietnia 1846 organizują wyjazdowe misje, akceptowane nawet przez Austriaków przerażonych rozmiarami rzezi oraz rosnąca popularnością Jakuba Szeli. O. Karol Bołoz Antoniewicz bierze udział w nabożeństwach w kościołach Bobowej, Bochni, Ciężkowic, Gromnika, Grybowa, Lipnicy Wielkiej, Staniątek. O. Jan Badeni, wydawca poezji i pieśni Antoniewicza nazwał go największym misjonarzem dziewiętnastego wieku. Franciszek Ziejka tak podsumował tą potrzebną, acz bardzo niebezpieczną, akcję ewangelizacyjną w książce *Poeci, misjonarze, uczeni. Z dziejów kultury i literatury polskiej* (1998):

„Misje ks. Antoniewicza i jego współbraci wskazywały demokratom drogę, którą należało pójść w przyszłości, aby uratować chłopów dla Polski. Była to droga mozolnej, codziennej pracy z ludem, droga oświaty. Poszedł nią sam ks. Antoniewicz nie tylko prowadząc dalej misje wiejskie, ale przede wszystkim stając się jednym z inicjatorem wielkiej pracy „u podstaw", wydając broszurki dla ludu, zarówno o tematyce religijnej jak i – co ważniejsze – narodowej".

Misjonarz spisał i wydał swoje *Wspomnienia misyjne* (1849, drugie wydanie 1855, kolejne – wolne już od ingerencji austriackiej cenzury – w 1896) o których F. Ziejka pisał tak:

„*Wspomnienia misyjne* są swoista kroniką rabacji na terenach podgórskich. Autor w oparciu o wiarygodne świadectwa ofiar i uczestników rozruchów skreślił przeradzający obraz tragedii, jaka rozegrała się na tych terenach. Znajdujemy tu wstrząsające opisy napadów na dwory, plebanie i kościoły."

Obecnie te wstrząsające opisy dostępne są z wydań współczesnych

Wydawnictwo i księgarnia „Miles" reklamując to wznowienie opatrzone podtytułem *Refleksje jezuity po rabacji galicyjskiej* (2024), pisze o nawoływaniu ks. Antoniewicza do nawrócenia sprawców tej niesłychanej zbrodni, a ofiary do wielkodusznego przebaczenia, dodając zdanie o aktualności refleksji dziewiętnastowiecznego jezuity i zastanowienia się nad kondycją współczesnego narodu polskiego.

Stanisław Dziedzic na łamach encyklopedycznej *Historii literatury polskiej w dziesięciu tomach* podsumowuje te niespotykane misje słowami: „W każdej [odwiedzanej] miejscowości, nierzadko wbrew licznym przeciwnościom, czasami zgoła zagrożeniom – głosił kazania ze znakomitymi rezultatami, wykazując się ogromnym talentem oratorskim, umiejętnością docierania do ludzkich sumień, siłą argumentacji".

Wyczerpanego fizycznie i psychicznie zakonnika władze zakonne odesłały na Pokucie, do dużej miejscowości Pasieczna w powiecie

Stanisławowskim. Stanisław Dziedzic stwierdził w cytowanym wyżej interesującym artykule biograficznym: „Pobyt na Huculszczyźnie, którą był urzeczony, łączył z pracami badawczymi nad folklorem tamtejszej ludności i przyrodą tych ziem. Fascynacja Huculszczyzną i jej mieszkańcami zaowocowała uroczym cyklem poetyckim *Znad rzek i gór*. Z okresu pobytu w Pasiecznej zachowały się piękne, napisane z niemałym polotem literackim, listy, pełne zauroczenia tą niezwykłą krainą i jej ubogimi mieszkańcami."

Przypomnijmy wiersz *Huculska ptaszyna*:

Przyleciałaś tu, ptaszyno,
między dzikie góry,
chcesz przyczepić twe gniazdeczko
do przelotnej chmury.

Leć w doliny, leć w równiny,
tam zamki i grody,
tam są spichrze pełne zboża
i kwiatów ogrody.

Na szerokich, żyznych łanach
już żółknieje zboże,
tu ci ziarna biedny Hucuł
posypać nie może.
Tam weselej, tam swobodniej
latać tobie będzie,
tutaj w polu jodły rosną,
głaz sterczy na grzędzie.

Tutaj matka nie wyżywi
i własnej dzieciny,

leć, ptaszyno, w inne strony,
w podolskie równiny.

Nie polecę, nie porzucę
Huculskiej zagrody,
bo mi milsze wasze lasy,
milsze górskie wody.

Pod tą strzechą matka moja
gniazdeczko zlepiła,
ja w tej chatce z mą dzieciną
razem się rodziła.

Tu mnie matka nauczyła
smutną piosnkę nucić,
ja tu z wami chcę pozostać
i z wami się smucić.

Latać będę po tych skałach,
kryć się w tej gęstwinie,
będę z wami w cichej nocy
śpiewać w połoninie.

Dla was ja nie pożałuję
do lotu skrzydełek,
bo wiem, że wy dla mnie zdradnych
nie macie sidełek.

I na cmentarz nieraz zlecę,
gdzie są wasze groby,
i na krzyżu tam usiądę
nucąc pieśń żałoby.

A więc dajcież mi umierać
tam, gdziem się rodziła,
bo ta ziemia nad świat cały
i ptaszynie miła.

Z Pasiecznej skierowano księdza Antoniewicza do Tarnopola, na chwilę osiadł niebawem we Lwowie, w klasztorze znajdującym się przy kościele św. Mikołaja. Głosił też kazania w kościele świętych Piotra i Pawła. Nie zabawił tu długo, bowiem po kasacie zakonu jezuitów dokonanej przez austriackiego zaborcę, ruszył misyjnym szlakiem do miejscowości małopolskich, śląskich i wielkopolskich. Na dłużej zatrzymał się w Krakowie. Efektem głoszonych tu misji był cykl poezji *W kaplicy Matki Bożej Bolesnej w Staniątkach*. Znajduje się on w zbiorach poezji wydawanych za życia i po śmierci autora. Są tu teksty znanych również dzisiaj utworów, miedzy innymi: *Jezus w żłóbku*, *W Krzyżu cierpienie, Do Zbawiciela naszego*, *Chwała Maryi*, oraz *Ave Maryja!.* Wtedy powstaje też cykl *Wianeczek majowy*, też znana już *Pieśń majowa*, *Do św. Kunegundy*, *Poselstwo aniołka w niebie*, *Do matki na ziemi*. Mniej znana jest dziś *Pamiątka majowa*.

Przed Tobą kornie zginamy kolana,
tobie cześć, pokłon i miłość i chwała,
tyś Matka nasza, od Boga nam dana,
tyś Matką naszą pod krzyżem została.
W Tobie nadzieja, która nas nie zdradzi,
Matka do nieba dzieci doprowadzi.

Kiedy cesarstwo austriackie zaczęło zwalczać patriotyczne akcje duchowieństwa galicyjskiego przeniósł się Antoniewicz do zaboru pruskiego. W Obrze (dzisiejsza wieś niedaleko Wolsztyna) zatrzymał się w klasztorze pocysterskim, rozpoczynając nową działalność

zakonną. Tu zmarł młodo, 14 listopada 1852, niosąc pomoc zarażonym cholerą mieszkańcom. Miał 45 lat.

Ks. Karol Bołoz Antoniewicz w tomiku *Wianeczek majowy* dedykowanym „Najświętszej Bogarodzicy Maryi" umieścił między innymi znane do dnia dzisiejszego słowa pieśni:

O Maryjo! przyjm w ofierze,
co ci dzieci znoszą szczerze,
serca swoje, myśli swoje,
i łez żalu czyste zdroje,
wszystkie smutki i tęsknoty,
nie z przymusu, lecz z ochoty.

Śpiewane są również w świątyniach w dwudziestym wieku inne słowa z tego zbioru:

Panie! w ofierze tobie dzisiaj składam
wszystko, czym jestem, wszystko, co posiadam.
ty wiesz najlepiej, żem nędzny, ubogi,
żyję wśród smutków i żalu i trwogi,
goniąc i tęskniąc za duszy pokojem,
nadzieją moją i zbawieniem mojem.
Jest ta myśl błoga, jest ta myśl droga,
że matką moją, jest matka Boga.

Czyż nie warto zapoznać się z całym zbiorem Karola Bołoza Antoniewicza, wybitnego poety, kaznodziei i teologa.

Tadeusz Skoczek

Karol Bołoz Antoniewicz

WIANECZEK MAJOWY

Najświętszej Boga Rodzicy

MARYI

Kilka piosenek majowych dla was, którzy Maryję kochacie, dla was, którzy z Maryją pod krzyżem stoicie. Biedne, proste, pokorne piosenki, jak te polne kwiateczki majowe. Krótkie ich życie, ale szczęśliwe kwiateczki, jeśli choć chwilek kilka zdobiąc jej obraz kwitnąć i odkwitnąć mogą. Krótkie życie tych piosenek, które w pokorze składam u stóp tej matki, która i najuboższym nie pogardzi serca darem. Maryja nie gardzi kwiateczkiem majowym; ona i majową nie wzgardzi piosenką, bo te kwiaty wykwitają na ziemi, której ona jest panią, bo te piosnki dzwonią w sercu, którego ona jest matką.

1.

Huczą lasy, szumią zdroje,
jakby wielbiąc imię twoje,
bo to imię ukochane
goi każdą serca ranę,
bo to imię w całym świecie
wielbi starzec, kocha dziecię.

O Maryjo! przyjm w ofierze,
co ci dzieci znoszą szczerze,
serca swoje, myśli swoje,
i łez żalu czyste zdroje,
wszystkie smutki i tęsknoty,
nie z przymusu, lecz z ochoty.

Chociaż panią nazywamy,
lecz jak matkę cię kochamy,
jako pani cześć oddając,
jako matkę cię wzywając.
Pani świata, rządź sługami,
matko, lituj się nad nami!

Bo my nędzni, biedni ludzie,
zastarzali w grzechów brudzie;
Podaj rękę, powstaniemy,
proś za nami, ożyjemy,
a doznawszy twej opieki,
będziem z tobą żyć na wieki!

2.

Już majowe świeci zorze,
przed obrazem świeże kwiaty
dla Maryi złóż w pokorze,
lecz kwiat inny ślij w zaświaty.

Kwiat nadziei, kwiat miłości,
co się w duszy twej rozwinął,
daj go matce, aby w czczości
świata tego nie zaginął.

Powierz matce kwiat ten drogi,
by go ludzie nie splamili,
żeby bujne świata głogi
tego kwiatu nie zgłuszyły.

Wszystkie myśli, wszystkie słowa
pod straż dobrej oddaj matki,
Ona wiernie ci przechowa
te majowe duszy kwiatki.

Ona czuwać będzie stale,
by twe serce wiarą biło,
a na wierze jak na skale
życie silniej się krzewiło.

Ona czuwać będzie wiernie,
by miłości świętej siła
jako słońce, czynnie, biernie,
W duszy twej się promieniła.

3.

Kwitną łąki, a z kwiatami
radość w sercu się rozkwita;
Świeci niebo i gwiazdami
przyjście błogiej wiosny wita.
Wdziękiem maja kwitnie chwała
Tej, co światu zbawcę dała.

Gdzie kościoły i zakony
i gdzie dzieci boskie żyją,
gdzie z wież huczą głośne dzwony,
tam też głośniej serca biją.
Cześć Maryi, cześć i chwała,
która światu zbawcę dała.

Maj zawitał i świat ożył,
słońce błysło, pękły lody,
ziemi łono Bóg otworzył,
by wśród życia i swobody
głośno grzmiała cześć i chwała
Tej, co światu zbawcę dała.

Ziemia głosi imię twoje,
ciebie niebo opowiada;
Tobie pszczółek brzęczą roje,
tobie ptasząt nucą stada.
Cześć Maryi, cześć i chwała,
która światu zbawcę dała.

Myśl się nasza stroi kwiatem
a uczucie gwiazd światłością;
I wśród świata i nad światem
chcemy twoją żyć miłością.
Cześć Maryi, cześć i chwała,
która światu zbawcę dała.

4.

Panie! w ofierze tobie dzisiaj składam
wszystko, czym jestem, wszystko, co posiadam.
ty wiesz najlepiej, żem nędzny, ubogi,
żyję wśród smutków i żalu i trwogi,
goniąc i tęskniąc za duszy pokojem,
nadzieją moją i zbawieniem mojem.
Jest ta myśl błoga, jest ta myśl droga,
że matką moją jest matka Boga.

I kiedy patrząc na grzechów mych złości
w sercu utulić nie mogę żałości,
i sąd twój straszny staje przed oczyma,
jak nad przepaścią piekła ducha trzyma,
i wszystkie myśli w odmęcie truchleją,
znękanej duszy ostatnią nadzieją.
Jest ta myśl błoga, jest ta myśl droga
że matką moją jest matka Boga.

Kiedy krzyż ciężki na to ciało padnie,
a duszę cięższy krzyż jeszcze owładnie,
i sucho wewnątrz i zewnątrz tak sucho,
a w duszy ciemno, a w sercu tak głucho,
i usta milczą w milczenia katuszy,
jedyną ulgą dla zbolałej duszy.
Jest ta myśl błoga, jest ta myśl droga,
że matką moją jest matka Boga.

Lecz gdy ostatnia wybije godzina,
co całą przeszłość jasno przypomina,
a to wspomnienie harde myśli zmiesza
i serce drażni, ale nie pociesza,
któż od rozpaczy człowieka zasłoni?
Któż zlitowania skarby mu odsłoni?
Jedna myśl tylko, jedna myśl błoga,
że matką naszą jest matka Boga.

5.

O Maryjo, na głos sługi
nie odmawiaj twej pomocy,
bom czas długi, bardzo długi,
żył bez ciebie w zwątpień nocy:
Włos od smutku posiwiały,
dusza starta i złamana,
w sercu zimny, skamieniały,
bom znać nie chciał matki Pana,
bom miłował moje grzechy.

Dziś wyznaję serca winy
i nie szukam już pociechy,
ale łask twych okruszyny.
Żyłem długo jak umarły
w brudnym złości moich grobie,
które z łask twych mnie odarły;
jednak zawszem ufał tobie.

I ta ufność mnie nie zwiodła,
dziś do ciebie mnie przywiodła.
Dzieckiem twoim być przestałem,
tyś być matką nie przestała,
a z tych łez, co przepłakałem,
niech wykwitnie twoja chwała!
Skrusz twą siłą te kajdany,
które duszę krępowały,
zagój w sercu wszystkie rany,
które grzechy mi zadały.
Z więźnia świata więźniem twoim
chcę być dotąd wierny, stały;
Lecz ty obdarz mnie pokojem,
bym był więźniem twojej chwały!

6.

Różne są szczęścia i różne są bole,
przez które człowiek w życiu przechodzi,
a świat ten nieraz w serce ukole,
życia goryczy nigdy nie osłodzi,
bo świat to umie i zdradzić i złudzić,
serce rozranić i duszę pobrudzić.

Tylko ta jedna, co życie nam dała,
miłując sercem, sercem nas pociesza;
Tylko ta jedna miłością wytrwała
zawsze i wszędzie w pomoc nam pospiesza,
ranę odgadnie, a boleść przeczuje,
bo tylko matka swe dziecko pojmuje.

Ale ta matka słaba jako trzcina
cóż sama przez się uczynić jest zdolna?
Pod krzyżem dziecka kornie się ugina,
modlić się, płakać, to tylko jej wolno.
Sama swą siłą serca nie zagoi,
Sama swą prośbą Boga nie rozbroi.

Lecz drugą matkę mamy jeszcze w niebie,
co matce naszej pomoc, radę daje,
a gdy jej wezwie w smutku i potrzebie,
w obronie dziecka zawsze przy niej staje.
Gdzie matka płacze, tam Maryja radzi,
gdzie matka błądzi, Maryja prowadzi.

Jeśli chcesz dziecku twemu błogosławić,
to je błogosław w Maryi imieniu;
Jeśli chcesz duszę dziecka twego zbawić,
kochaj Maryją w szczęściu i strapieniu.
Bądź ty jej dzieckiem i zawsze i wszędzie,
a ona matką dziecku twemu będzie.

7.

O, potąd dobrze i błogo na świecie,
pokąd na ziemi ma swą matkę dziecię,
i pod jej sercem nowy świat powita,
jak kwiatek polny w życie się rozkwita.
Od niej się uczy znać Boga na niebie,
u niego szukać pomocy w potrzebie
i jego świętej poddawać się woli,
wielbić i wierzyć, choć serce zaboli;
Jak cicho płakać, kochać i pracować,
i w krwawym pocie kornie krzyż całować,
i zawsze wierzyć, choć rozum w ciemności,
i zawsze kochać, choć serce w oschłości,
i zawsze wołać w pokorze: O Panie,
jak ty rozrządzisz, niechaj tak się stanie!
O, potąd dobrze i błogo na świecie,
pokąd na niebie ma swą matkę dziecię.
Pod jej opieką nić życia wyprzędzie,
kocha ją zawsze i widzi ją wszędzie,
A tęskniąc do niej, do niej się zbliża,
i z krzyżem w ręku pospiesza do krzyża,
by krzyża bole z tą matką podzielić,
i z nią zapłakać i z nią się weselić.
Gdy o niej myśli, myśl zawsze pogodna,
gdy jej zaufa, to dusza swobodna;
Gdy za nią idzie, o świat nie zawadzi,
gdy jej zawierzy, to ona nie zdradzi,
a gdy na ziemi sercem z nią się łączy,
to na jej sercu i życie zakończy.

8.

Smutno na sercu! — a któż pocieszy?
Dusza się trwoży! — któż nas obroni?
Któż w pomoc dziecku chętnie pospieszy,
któż je od wiecznej zguby zasłoni?

I jeszcześ długo będziem tak pytać?
I jeszcześ długo żyć tak wśród trwogi?
I każdej wiotkiej trzciny się chwytać,
przy błędnym świetle szukać życia drogi?

I matkę mając żyjemy w zwątpieniu,
i światło mając błądzimy wśród nocy,
i usta mając cierpimy w milczeniu,
nie chcąc u matki szukać pomocy.

Ale ta matka gdzież ona mieszka
i gdzież ją znaleźć, gdzie możemy szukać?
I któraż do niej doprowadzi ścieżka?
Gdzież do jej domku i serca zapukać?

O nie idź tylko niedowiarstwa mrokiem
i próżnej dumy i rozpusty złością,
szukaj jej łzawym i sercem i okiem,
szukaj jej wiarą, a znajdziesz miłością!

Świętej pokory pokryty puklerzem
za zbawicielem wstępuj w krwawe ślady,
a Matki Boskiej zostawszy rycerzem
znajdziesz w niej matkę miłości i rady.

Ona cię weźmie pod swoją opiekę,
choć przeciw tobie cały świat powstanie,
otrze z łez gorzkich wilgotną powiekę,
a dusza życia prawdą zmartwychwstanie.

9.

Biedny, kto ciebie nie zna od powicia
i nigdy twego nie słyszał imienia;
Lecz ten biedniejszy, kto w rozpuście życia
stał się niegodnym twojego wejrzenia.

I imię twoje już zatarł w pamięci
i swojej matki podle się wyrzeka.
Ach, łaska Boska serca nie poświęci,
które od matki stroni i ucieka.

Kto się za życia z tobą nie połączy,
tęskniąc nie szuka twej świętej opieki,
ten i bez ciebie to życie zakończy,
bez ciebie będzie rozpaczać na wieki.

Kto Cię nie uczci i słowem i czynem,
za tym nie staniesz na sądzie w obronie;
Kto gardzi matką, ten gardzi i synem,
kto gardzi światłem, w ciemnościach zatonie.

Gorzkie łzy żalu dziś ci niosę w darze,
niechaj wyżebrzą twoje zlitowanie;
A chociaż syn twój w gniewie mnie ukarze,
Matka za dzieckiem w obronie powstanie.

A kogo, matko, ty pobłogosławisz,
ten do wieczności szczęśliwie dopłynie;
A za kim, matko, na sądzie się wstawisz,
ten wieczną śmiercią nigdy nie zaginie.

10.

Przed tobą, matko, któż się ukryć zdoła?
Ty serc twych dzieci przenikasz skrytości;
Duch się wyjarzmia z żądz zmysłowych koła
do ciebie tęskni, tęskni do miłości.
Pozwól, o matko, w tej duszy rozmowie
niech serce dziecka wszystko ci opowie.

Wyznaję szczerze, od krzyżam się bronił,
dziś go przyjmuję w pokorze, prostocie;
Wyznaję szczerze, żem od ciebie stronił,
lecz dziś cię szukam w mej duszy tęsknocie,
czy serce zgoisz miłości urokiem,
czy duszę zranisz boleści pomrokiem.

Gdy żałość moją tobie opowiadam,
wtedy w mej duszy ciszej i spokojniej;
Kiedy me życie w ofierze ci składam,
wtedy w mym sercu jaśniej i przestronniej.
O, wskaż mi tylko, wskaż mi życia drogę,
bez twej pomocy dalej iść nie mogę!

Bo kto sam idzie, pod krzyżem upada,
a do powstania gdy siłę wytęża
i myśl się kłóci, lęk w serce się wkrada,
dusza słabieje, a ciało zwycięża.
Lecz kto na Tobie polega jedynie,
dla tego boleść siłą się rozwinie.

11.

W zimnym popiele iskra nie zaświeci,
kwiat nie wykwitnie w śniegowej zamieci.
W sercu zbolałym są tylko wspomnienia,
znajdziesz łzę gorzką, nie znajdziesz natchnienia,
bo do pustego nikt domku nie puka,
w grobowej nocy nikt życia nie szuka.

Matko, weź życie, albo dodaj siły,
bo coraz ciężej, im bliżej mogiły,
a własną siłą dalej iść nie mogę.
Zostaw mi krzyż mój, ale oddal trwogę,
bo choć pokornie krzyż na barki wkładam,
co krok postąpię, pod krzyżem upadam.

I coraz zimniej i zimniej wokoło,
i coraz rzewniej łza po łzie się sączy,
i coraz ciemniej zachmurza się czoło,
i coraz ściślej żal się z żalem łączy.
Matko, spiesz w pomoc, utul ból serdeczny,
pod Twą opieką będę żył bezpieczny.

Modlić się pragnę, płakać tylko umiem,
smutek, tęsknota głos modlitwy tłumi,
własnego serca uczuć nie rozumiem,
ale Maryja to serce zrozumie.
Dla mnie, dla ludzi łzy są tylko łzami,
a dla Maryi modlitwy słowami.

12.

Niegdyś byłem tak bogaty;
Mym bogactwem marzeń kwiaty,
żyjąc w szczęścia upojeniu
i w nadziei i w wspomnieniu
była przeszłość, przyszłość święta,
i tęsknota niepojęta.
Na dnie duszy mej dzwoniła,
jak harmonia dźwięczna, miła;
Jużem sądził, że w radości
można dobić do wieczności,
że bez krzyża i cierpienia
zejdzie dla mnie dzień zbawienia.

Wszystko się dla mnie dziś zmieniło,
Maryja matka, ta się nie zmieniła;
Co było jasnym, dzisiaj się zaćmiło,
co było ciemnym, Tyś rozpromieniła.

Wszystkie pociechy i cierpienia moje
z krzyżem, jak dziecko krzyżam odziedziczył;
Opieka matki, miłosierdzie twoje,
żeś je w zasługę, tak ufam, policzył.

A jeśli serce boli, bardzo boli,
Matko, tę boleść poświęć twoją ręką,
bym się oddając we wszystkim twej woli
krzyż mój połączył z syna twego męką!

13.

Zawitał dla nas majowy poranek,
ziemia i niebo błogo się śmieje;
Podajcie kwiaty, aby uwić wianek,
lecz wianek taki, który nie więdnieje.

Na żyznej ziemi kwiat pełny urośnie,
na twardej skale tylko głóg kolący;
A my na wianek zbierajmy przy wiośnie
nie ostre głogi, ale kwiat woniący.

Na nas Maryja w radości pogląda,
jako ta gwiazda, co na niebie świeci,
przyjmie ten wieniec, innego zażąda,
wianka serc naszych, jako serc swych dzieci.

Bo kwiaty ziemi, o, jak krótko trwają!
Jak gwiazdy gasną, tak kwiaty więdnieją,
a wiatry uschłym badylkiem igrają
i zżółkłe listki po świecie rozwieją.

Złóżmy na wieniec wszystkie serca cnoty,
które wykwitły w sile jej opieki,
dajmy kwiat szczęścia, dajmy kwiat tęsknoty,
a taki wieniec nie uschnie na wieki.

14.

Maj przeminie,
zdrój przepłynie,
gwiazdka zgaśnie na błękicie;
Wiatr pogoni,
pieśń przedzwoni,
a w tej piosnce serca życie.

W grobu łonie
łza utonie,
co się w duszy sączy skrycie,
łza miłości
i żałości,
a w tej łezce serca życie.

Jak za rajem,
tak za majem
tęskne, smutne serca bicie,
bo w tym maju
jakby w raju
kwitło błogo serca życie.

Jak wśród drogi
ludzkie nogi
zdepcą kwiat w samym rozkwicie
wzgardzą pieniem
i westchnieniem,
a w westchnieniu serca życie.

15.

Nie opuszczaj nas, nie opuszczaj nas,
Matko, nie opuszczaj nas!
Matko, pociesz, bo płaczemy,
Matko, prowadź, bo zginiemy;

Ucz nas kochać choć w cierpieniu,
ucz nas cierpieć choć w milczeniu!
Nie opuszczaj nas, nie opuszczaj nas,
Matko nie opuszczaj nas!

Nie opuszczaj nas, nie opuszczaj nas,
Matko, nie opuszczaj nas!
Cóż dziwnego, że łzy płyną,
Gdy to życie łez doliną.
Dusza smutkiem zamroczona
pod ciężarem krzyża kona!
Nie opuszczaj nas, nie opuszczaj nas,
Matko, nie opuszczaj nas!

Nie opuszczaj nas, nie opuszczaj nas,
Matko, nie opuszczaj nas!
Wyjednało twe wstawienie
niejednemu już zbawienie;

Kto swą ufność w tobie łożył,
nowej łaski życiem ożył.
Nie opuszczaj nas, nie opuszczaj nas,
Matko, nie opuszczaj nas!

Nie opuszczaj nas, nie opuszczaj nas,
Matko, nie opuszczaj nas!
I dlatego twoje imię
w sercach naszych nie zadrzemie;

Będziem wołać, błagać, prosić,
wszędzie, zawsze cześć twą głosić!
Nie opuszczaj nas, nie opuszczaj nas,
Matko, nie opuszczaj nas!

Nie opuszczaj nas, nie opuszczaj nas,
Matko, nie opuszczaj nas!
I w sieroctwie, w opuszczeniu,
i w tęsknocie i w cierpieniu,
i w ubóstwie i w chorobie,
zawsze będziem ufać tobie!

Nie opuszczaj nas, nie opuszczaj nas,
Matko, nie opuszczaj nas!

Nie opuszczaj nas, nie opuszczaj nas,
Matko, nie opuszczaj nas!
Pójdziem chętnie drogą krzyża,
bo nas krzyż do ciebie zbliża,
bo nas krzyż dziś nie przestrasza,
bo nadzieja w krzyżu nasza!

Nie opuszczaj nas, nie opuszczaj nas,
Matko, nie opuszczaj nas!

Nie opuszczaj nas, nie opuszczaj nas,
Matko, nie opuszczaj nas!
Tak pod krzyżem będziem stali,
Z tobą krwawą łzą płakali,
boś ty matką nam została,
gdyś pod krzyża drzewem stała!

Nie opuszczaj nas, nie opuszczaj nas,
Matko, nie opuszczaj nas!

Pieśń majowa

Chwalcie łąki umajone,
góry, doliny zielone,
chwalcie, cieniste gaiki,
źródła i kręte strumyki!

Co igra z morza falami,
w powietrzu buja skrzydłami,
chwalcie z nami Panią Świata,
jej dłoń nasza wieniec splata.

Ona dzieł Boskich korona,
nad Anioły wywyższona,
choć jest Panią nieba, ziemi,
nie gardzi dary naszymi.

Wdzięcznym strumyki mruczeniem,
ptaszęta słodkim kwileniem,
i co czuje, i co żyje,
niech z nami sławi Maryję!

Pamiątka majowa

Przed Tobą kornie zginamy kolana,
Tobie cześć, pokłon i miłość i chwała,
Tyś Matka nasza, od Boga nam dana,
Tyś Matką naszą pod krzyżem została.

W Tobie nadzieja, która nas nie zdradzi,
Matka do nieba dzieci doprowadzi.

[Wierszyk nakreślony na obrazku Matki Boskiej
przeznaczonym dla p. W. Trojanowskiej]

SUPLEMENT

[Maria Steczkowska]
Kilka słów o życiu i pismach ks. K. Antoniewicza

[Wstęp do zbioru poezji Karola Antoniewicza wydanych
w 1861 nakładem profesora Jana Kantego Steczkowskiego
w drukarni krakowskiego „Czasu”]

Wyższe zdolności, świetne talenty, głęboka nauka mozolną pracą nabyta słusznie zyskują oklaski i wziętość. Jeżeli jednak z tym umysłowym bogactwem nie łączą się nierównie cenniejsze przymioty duszy, przebrzmi z czasem i najgłośniejsza sława, zwiędną laury na czole chwilowego jej ulubieńca, a imię jego w niepamięci zatonie. Ten jedynie ma prawo do powszechnej wdzięczności i trwałej pamięci, kto nieskażoną cnotą jaśniał przez całe życie, kto wszystkie swe myśli i czyny dobru współbraci poświęcał. Stwórca bowiem dał nam wrodzone zamiłowanie cnoty i cześć dla niej w sercach naszych zaszczepił. Ten nawet, kto zboczył z prostej drogi, jeżeli tylko nie stał się jeszcze całkiem przewrotnym, uszanuje w drugim prawość; sam niezdolny do cnoty cenić jednak będzie cnotliwych. Pomimowolnie prawie wszędzie szukamy tej córy nieba, wszędzie byśmy znaleźć ją radzi, a jej świętego uroku nic nam zastąpić nie zdoła.

Jakkolwiek według przyjętego powszechnie i licznymi przykładami stwierdzonego zdania estetyków, moralna wartość człowieka nie ma wpływu na utwory sztuki będące owocem chwilowego natchnienia, my jednak wiedzieni innym uczuciem chcielibyśmy zawsze widzieć w życiu autora urzeczywistnienie głoszonych przez niego zasad, a każda sprzeczność w tym względzie pomimowolnie przykre na nas czyni wrażenie i osłabia wpływ najwznioślejszych, najpiękniej wypowiedzianych pomysłów. Przeciwnie jakaż to radość, jakie słodkie zadowolenie napełnia serce, gdy z uznaniem talentu autora, z upodobaniem w płodach jego pióra możemy połączyć szacunek dla człowieka. Wtenczas każde słowo jego podwójnej nabiera wagi, zdania i myśli ryją się w sercu głęboko i stają się życia prawidłem.

Taki to wpływ wywierają na nas wszystkie pisma ś. p. ks. Antoniewicza, którego imię otoczone czcią, miłością, uwielbieniem i wdzięcznością narodu jaśnieje jak świetna gwiazda wpośród chmur czarnych i groźnych, które nad ziemią naszą zawisły w przeciągu ostatnich lat kilkunastu i gromem klęsk rozlicznych rozdarły jej łono. Sądzę przeto, że zbiór poezji tego pełnego talentu, cnót i zasług kapłana, który podaję obecnie czytelnikom, miłym dla nich będzie upominkiem nie tylko ze względu istotnych zalet cechujących te utwory, ale oraz jako wierne odbicie uczuć, jakimi tchnęła dusza ich autora przez cały ciąg niestety nazbyt krótkiego żywota.

Czytając te pierwsze natchnienia z lat jego młodzieńczych, echa późniejszych cierpień i anielskich uczuć dźwięki, poznamy całą piękność tej duszy doświadczonej w ogniu boleści, pełnej wiary, miłości, pokoju, to serce tak tkliwe, tak żywo czuć umiejące niedolą współbraci i zawsze gotowe nieść im pociechę i ulgę; poznamy tym samym źródło tych nadludzkich wysileń, tych prac i poświęceń ofiarą życia okupionych. Tak więc stanie przed oczyma naszymi w całym uroku i niebiańskim blasku święta postać ubogiego zakonnika, co jak anioł pocieszyciel rozpościerał opiekuńcze skrzydła nad

rodzinną ziemią, a choć w zimnym spoczął grobie, nie przestaje przyświecać jej przykładem i nauką złożoną żywym słowem w sercach rodaków, lub w licznych przekazaną im pismach.

Tkliwe mowy pogrzebowe na cześć ś. p. ks. Antoniewicza, pisma czasowe i dzieła poświęcone życiorysom znakomitych mężów, podały już niejednokrotnie szczegóły tego pełnego zasług żywota; jednak przy niniejszym wydaniu poezji uważałam za stosowne umieścić krótki rys prawdziwie świętego zawodu ich autora w przekonaniu, że ta skromna gałązka rzucona na mogiłę zroszoną łzami powszechnego żalu i wdzięczności, rzewne wspomnienia wywoła w sercach tych wszystkich, co znali za życia tego znakomitego kapłana, lub przynajmniej o pracach i zasługach jego słyszeli.

Ks. Karol Bołoz Antoniewicz, potomek zacnej rodziny ormiańskiej, urodził się we Lwowie dnia 6 listopada 1807 r. z Józefa Antoniewicza i Józefy Nikorowiczówny. W r. 1818 rodzice jego przenieśli się do dóbr swoich Skwarzawy w obwodzie żółkiewskim. Ojca wkrótce utracił; ale pozostała mu matka, anioł jego opiekuńczy , dla której najtkliwszą miłość, wdzięczność i uwielbienie do zgonu zachował. Ona to spełniając powołanie swoje jak na matkę chrześcijańską i obywatelkę przystało, rzuciła w serce ukochanego syna nasiona cnót najpiękniejszych; pod jej troskliwym okiem rozwijały się i wzrastały szybko wielkie zdolności okazujące się w nim od dzieciństwa; jej był on winien tę żywą wiarę, tę prostotę serca, tę szczerą pobożność, tę tkliwość i rzewność, jaka życie jego zdobiła. Wyższe nauki pobierał młody Karol w uniwersytecie lwowskim nie zaniedbując niczego, co tylko umysł jego wykształcić mogło. Mając wielką łatwość w uczeniu się obcych języków, przyswoił ich sobie kilka, a mianowicie łaciński, francuski, włoski, angielski i niemiecki. Muzykę lubił namiętnie i bardzo w niej był biegłym. W szlachetnej i żywo czującej duszy młodzieńca odezwało się także i poetyczne natchnienie, którego pierwsze kwiaty ukazały się już to w osobnych wydaniach, już w pismach periodycznych lwowskich.

Troskliwa matka chcąc czuwać z bliska nad każdym krokiem ukochanego syna w tych pierwszych a najniebezpieczniejszych latach młodości, mieszkała we Lwowie przez cały czas pobytu jego w tym mieście. Widziała ona z radością, jak zarody cnoty zaszczepione w dziecinnym sercu Karola obfite przynosiły owoce. Na dowód jego dobroci i miłosierdzia już w tak wczesnej objawiających się młodości, jedno tylko przytoczę zdarzenie. Przechadzając się pewnego razu w porze zimowej po wałach zamkowych we Lwowie, napotkał kilkoletniego sierotę umierającego prawie z głodu i zimna. Wzruszony litością okrył własnym płaszczem biednego chłopca, a wziąwszy z sobą do domu nie tylko go żywił i odziewał, ale sam zajmował się jego nauką. Sierota ten tak się przywiązał do swego dobroczyńcy, że na krok odstąpić go nie chciał i towarzyszył wszędzie, nawet na pola bitew, gdzie go śmierć z ukochanym rozłączyła opiekunem.

Mało kogo zaiste tak hojnie obdarzyła Opatrzność swymi darami, jak młodego Antoniewicza. Najszlachetniejsze przymioty duszy i serca, wykształcenie umysłowe, talenty, piękne imię, majątek, ujmująca powierzchowność, słowem wszystkie ziemskiego szczęścia warunki łączyły się w osobie jego, zdobiąc teraźniejszość całym urokiem światowego blasku, a przyszłość w świetniejszych jeszcze ukazując barwach. Pomimo to wielkość światowa nie nęciła go wcale; nie pragnął zaszczytów, wyniesienia i sławy, a serce jego ogarniała chwilami jakaś niepojęta tęsknota za wyższym, duchowym szczęściem. Powołanie zakonne już wtenczas odzywało się w głębi duszy jego, jak to sam później kilkakrotnie w swych pismach wyznawał. Ale świat zbyt wielkie miał jeszcze dla niego powaby, zbyt łudzącymi uśmiechał się nadziejami, by mógł odrzucić wszystkie jego ponęty i zapragnąć stanowczo tego szczęścia, które wykwita dopiero na gruzach ziemskich rozkoszy i złudzeń, jak biała lilia na grobie. Umilkł też wkrótce ów głos tajemniczy, a młodzieniec z sercem pełnym najszlachetniejszych zamiarów,

z gorącym pragnieniem służenia krajowi, z zapałem i nadzieją, dalszą życia postępował drogą.

Po skończonych chlubnie naukach powrócił Antoniewicz w wiejskie ustronie swoje. Powziąwszy myśl napisania historii Ormian, w roku 1828 udał się do Jass, gdzie miał bliskich krewnych, i zaczął gromadzić potrzebne do przedsięwziętej pracy materiały. Jakkolwiek zamiar ten nie przyszedł do skutku, daje on przecież chlubne świadectwo temu, który w tak młodym wieku o tak poważnej i użytecznej zamyślał pracy. Wkrótce nadarzyła mu się sposobność okazania czynem przywiązania swego do tej ziemi, na której się urodził i wychował. Był to rok 1831. Szczęk oręża, okrzyk wojenny brzmiący nad Wisłą, rozgłośnym echem po podolskich rozległ się niwach. Zaledwie go posłyszał młody Karol, pożegnał ukochaną matkę i stanął w bratnich szeregach. Odbył tę kampanią służąc przy konnicy w korpusie Dwernickiego. Tu cudem prawie uszedł śmierci. W czasie bowiem obozowania pomienionego korpusu na Podolu, dowódca powracając nocą do obozu z czterema jeźdźcami, pomiędzy którymi był Antoniewicz, zabłądził i dwom wieśniakom zatrzymanym na drodze prowadzić się kazał; ci zdradziecko oddali ich w ręce nieprzyjaciół, którzy wszystkich pozabijali. Karol jedynie instynktowi swego konia winien był ocalenie. Znużony długim niewczasem zdrzemnął się na siodle i pozostał znacznie za swymi towarzyszami; koń idąc zwolna zwrócił się na uboczną drogę i trafił do obozu polskiego.

Smutny, złamany, zawiedziony w najsłodszych nadziejach, powrócił Antoniewicz w domowe zacisze, a nie zrażony bynajmniej w szlachetnych chęciach służenia ziemi rodzinnej, obrał sobie cichy, skromny, lecz szerokie pole do użytecznej pracy przedstawiający zawód obywatelski.

W roku 1832 ożenił się ze swą wujeczną siostrą Zofią Nikorowiczówną, którą pokochał z całym zapałem młodzieńczym dla rzadkich serca przymiotów. Młode małżeństwo złączone

węzłem wzajemnej miłości, otoczone szacunkiem i przychylnością krewnych i sąsiadów, przywiązaniem i wdzięcznością poddanych włościan, zaczęło snuć wesoło złote pasmo domowego szczęścia, któremu słodkie rodzicielskie uczucia nowego dodawały wdzięku.

Ale niestety! Był to tylko piękny poranek dnia posępnego i burzliwego. Szczęście ziemskie nie miało być udziałem Zofii i Karola; wieniec cierniowy opasał wkrótce ich czoła, doznali największej boleści, jakiej w tym życiu doświadczyć można. Każdą dzieciną zaledwie kilka cieszyli się miesięcy, bo każda jak kwiat kosą podcięty więdniała i nikła w ich oczach, goryczą rodzicielskie napełniając serca. Tak srogim nawiedzani nieszczęściem nie szemrali przeciw niezbadanym wyrokom Opatrzności, a zamiast oddać się rozpaczy lub w światowych uciechach szukać chwilowego zapomnienia strat swych bolesnych, w pokornym poddaniu się woli Boga i miłosiernych uczynkach czerpali pociechę i nadzieję szczęśliwszej przyszłości. Dom ich stał się przytułkiem chorych i nieszczęśliwych, których pocieszali, opatrywali, pielęgnowali z najczulszą troskliwością, skracając im długie godziny bezsenności i cierpienia to rozmową pełną dobroci, to śpiewaniem pieśni nabożnych. Podzielając z najżywszym współczuciem cierpienia bliźnich, ocierając łzy ich, niosąc im ulgę i wsparcie, doznawali sami pociechy spływającej jakby kojący balsam w ich serca boleścią znękane.

Już cztery mogiłki usypali nieszczęśliwi rodzice na cmentarzu wioski rodzinnej, już z tego gronka aniołków, w których całą swą miłość i szczęście złożyli, jedna tylko pozostała dziecina, ostatnia ich ziemska pociecha. Ale na próżno porzucają dom swój, niegdyś szczęścia siedlisko, a dziś grobowym smutku obleczony całunem, na próżno chronią się ze swym skarbem do Lwowa; i tam ściga ich śmierć i tę ostatnią wydziera nadzieję. Biedna matka chrześcijańskim męstwem zwalczając boleść rozdzierającą jej duszę i tłumiąc żal własny, znajdowała jeszcze słowa pociechy dla rozpaczającego męża, bo ona „wtenczas najlepiej pocieszać umiała, gdy ją najwięcej

bolało“ [Cytat z: *Listy w duchu bożym do Przyjaciół*, Kraków 1850, s. 120]. Ale serce jej tylu ciosami zranione już przenieść nie mogło straty ostatniego dziecięcia; zdrowie słabnące zwolna wśród tak dotkliwych cierpień, uległo na koniec pod tą ostatnią boleścią; zapadła w suchoty. Daremne były usiłowania najbieglejszych lekarzy i najtkliwsze nieszczęśliwego męża starania; żadna moc ludzka nie mogła już utrzymać gasnącego życia. Zofia i Karol tym nowym zagrożeni ciosem, szukają ratunku w niebie, ślubując uroczyście, że jeżeli śmierć ich nie rozłączy, wstąpią oboje do klasztoru, ona do sióstr miłosierdzia, on zaś do Towarzystwa Jezusowego. Lecz i tej pociechy za wiele było dla tego, który tu na ziemi miał spełnić do dna kielich goryczy. Zofia umarła 31 lipca 1839 roku po wielkich cierpieniach, które ani na chwilę nie zdołały jej odjąć anielskiej słodyczy i pokoju duszy, a czarna córki ś. Wincentego sukienka była jej szatą śmiertelną.

Tak więc z całego szczęścia, które Antoniewiczowi pierwsze kroki życia kwiatami usłało, pozostała smutna ruina, kilka drogich mogił, na których klęczał teraz sam jeden, z sercem osieroconym, obumarłym w boleści, z okiem wypłakanym, którego już nawet nie wilżyła łza ulgę niosąca. Ale w tej strasznej puszczy, jaką świat został dla niego, w tej grobowej ciszy, jaka go otaczała, posłyszał głos boży wzywający go do stóp krzyża, ujrzał na niebie czarnymi chmurami okrytym wschodzącą nowego życia jutrzenkę. Zrozumiał on ten głos i poszedł za nim bez wahania. Pożegnał na zawsze wioskę rodzinną, miejsce wspomnień ubiegłego szczęścia i przecierpianych bólów, złożył na piersiach dzienniczek ręką żony pisany jako najdroższą po niej pamiątkę i z błogosławieństwem ukochanej matki, która w klasztornym zaciszu przetrwała wszystkie ciosy raniące serce jej syna a zatem i jej własne [Wzorem świątobliwych prababek naszych matka Antoniewicza widząc zapewniony los dzieci w r. 1837 zamieszkała w klasztorze PP. Benedyktynek we Lwowie, oddana wyłącznie modlitwie i dobrym uczynkom.

Gdy syn jej najukochańszy doznawszy wszystkich pociech i goryczy życia składał Bogu w ofierze swe zbolałe serce, ona utwierdziła go w tym świętym postanowieniu, ona wypłakała, wymodliła dla niego błogosławieństwo Boże w tym nowym zawodzie. Odtąd niczego już nie pragnęła na ziemi, jak tylko aby być mogła na mszy świętej przez syna odprawianej. Nie doczekała jednak i tej pociechy, na kilka bowiem miesięcy przed jego wyświęceniem na kapłana, w lutym 1844 umarła, błogosławiąc z dala świętej drodze otwierającej się przed nim – przypis autorki].

[Karol] wstąpił do nowicjatu Jezuitów w Starej Wsi 10 września 1839 [Starawieś z klasztorem niegdyś Paulinów, a następnie Jezuitów, w obwodzie sanockim, niedaleko miasteczka Brzozowa – przypis autorki]. Z pokorą i prostotą dziecięcia poddał się ostrej regule zakonu, a oczyszczony chrztem łez i boleści ze wszystkich ziemskich pragnień i złudzeń, tutaj nowym odrodził się życiem; tu zagoiły się głębokie rany serca jego i pokój wpłynął w skołataną duszę. Przeszłość złożył Bogu w ofierze, przyszłość w ręce jego poruczył, Bóg został odtąd jedyną nadzieją, miłością i pociechą jego; ludzkość całą, a szczególniej współrodaków swoich jakby jedną wielką rodzinę przytulił do zbolałego serca; ich dobru, ich zbawieniu swe siły i życie poświęcić postanowił. Pracą, modlitwą i nieustanną walką z sobą samym sposobił się do godnego spełnienia świętego i wzniosłego powołania kapłana, a Bóg widocznie mu błogosławił udzielając pokoju i swobody ducha, których na próżno szukał wśród świata, a które teraz anielską pogodą rozjaśniły troskami zorane czoło.

Jego łagodność, pokora, posłuszeństwo zniewalały ku niemu wszystkie serca, a oraz wzbudzały powszechny podziw i uwielbienie. W kilka tygodni po wstąpieniu do zakonu obrany przełożonym nowicjuszów, wpływał na nich najzbawienniej przykładem swoim, był kochany i szanowany jak ojciec. W chwilach wolnych od zatrudnienia szukał rozrywki w muzyce; układał tkliwe i rzewne melodie,

pisał pieśni, które potem nowicjusze śpiewali w kaplicy klasztornej. Niektóre z tych pieśni, zwłaszcza na Boże Narodzenie i Trzy Króle upowszechniły się nawet pomiędzy okolicznym ludem.

Gdy po dwóch latach nowicjatu nadeszła chwila złożenia ślubów zakonnych, rozporządził znacznym majątkiem w części ustępując go krewnym, zresztą zaś przeznaczając na cele dobroczynne, jako to zapewnienie losu wiernym sługom, wsparcie ubogich, a na koniec sprowadzenie z Francji do Lwowa zakonnic Serca Jezusowego trudniących się wychowaniem, do czego znacznie się przyczynił.

W pięć lat po przyjęciu sukni zakonnej odebrał Karol Antoniewicz kapłańskie święcenie w Nowym Sączu, 10 września 1844. Już w roku 1845 nowy kapłan dał się poznać z wymowy i gorliwości przy zaprowadzaniu bractwa wstrzemięźliwości w Galicji; pierwszym atoli obszerniejszym polem apostolskiej jego pracy i zaiste najpiękniejszym kwiatem w wieńcu zasług jego były misje wiejskie odbyte po krwawych wypadkach 1846 r. w obwodach tarnowskim, bocheńskim i sądeckim. Z ufnością w Bogu, z poświęceniem bez granic szedł on pomiędzy lud obłąkany zbrodnią i rozpaczą, a niezrażony obelgami, potwarzą i pogróżkami, na jakie był wystawiony, przywodził występnych do upamiętania i żalu słowem potężnym, natchnionym miłością, którego mocy najtwardsze serca oprzeć się nie umiały. Był on zarazem aniołem pociechy dla nieszczęśliwych wdów i sierót, koił bolesne rany ich sercu zadane, nakłaniał do przebaczenia krzywd srogich, jednał i godził dzieci wspólnej matki, które rozdzielał teraz strumień krwi niewinnej. Nie tu miejsce rozwodzić się nad misjami tymi, tym bardziej, że sam ks. Karol skreślił nam ich szczegóły [w odrębnej publikacji – przypis TSK]

Aby jednak dać miarę jego poświęcenia i gorliwości, nadmieniam, że w ciągu sześciomiesięcznego ich trwania powiedział dwieście kilkadziesiąt nauk, napracował się, natrudził tak, że zapadł na piersi i z wiosną 1847 r. musiał udać się w góry dla poratowania zdrowia. Ci, którym znane listy jego przypomną sobie zapewne,

jak pięknie, tkliwie i rzewnie opisał swój pobyt w Pasiecznej, osadzie huculskiej, z jaką miłością mówi o tym biednym, zaniedbanym ludzie, który go nawzajem pokochał serdecznie, jak pragnął pozostać z nim na zawsze, oświecać go, pocieszać i zapomniany od świata złożyć kości na ubogim góralskiej wioski cmentarzu.

Nie spełniły się te skromne życzenia, Bóg bowiem chciał, aby ta jasna gwiazda szerszy oświeciła widnokrąg. Przybywszy do Lwowa oddał się najgorliwiej obowiązkom kapłańskim, pracując we dnie i w nocy nad poprawą i zbawieniem bliźnich. Wymowa jego jaśniejąca żywą wiarą, tchnąca najgorętszą miłością Boga, pełna przekonywającej mocy, a zarazem niewysłowionego wdzięku i serdecznej rzewnej prostoty, ściągała tłumy słuchaczy wszelkich klas na kazania zastosowane zawsze do pojęcia i potrzeb tak wyżej ukształconych, jako i ubogich prostaczków. W mowach przygodnych z tej epoki obok zdumiewającej siły wyrażeń uderzają nas młodzieńczy zapał, myśli wzniosłe, gorąca a dobrze zrozumiana miłość ojczyzny, którą kochał „zaraz po Bogu" [cytat z *Listów z zakonu* K. Antoniewicza], i ten urok poetyczny, który słowa jego niewypowiedzianym ozdabiał wdziękiem.

Wśród tych prac apostolskich mających głównie na celu uświęcenie, zwrócenie na prawdziwą drogę usiłowań i nadziei budzących podówczas powszechne zajęcie, cios nowy ugodził w serce ks. Antoniewicza. Było nim rozproszenie zakonu Jezuitów w roku 1848. Złamany tą przeciwnością, ze łzami żalu za utraconym pokojem klasztornym, ale zarazem z pokornym poddaniem się tej nowej próbie, dzielił los towarzyszów swoich, tułając się to w kraju, to za granicą. W maju 1849 r. spędził dni kilka w Krakowie, szukając pociechy i wsparcia w modlitwie przy grobach świętych Polaków i Polek, znajdujących się w kościołach naszego miasta. Stąd udał się do Szląska [pisownia oryginalna w XI wieku – przypis TSK], gdzie bawił czas jakiś to w Grefenbergu [dzisiaj Gryfice w województwie Zachodniopomorskim, pewniej Gryfów Śląski w województwie

Dolnośląskim – przypis TSK] w kąpielach, to w Piekarach niemieckich. Za jego staraniem i zachętą powstała ochronka dla dzieci w miasteczku Freiwalda [dzisiaj zapewne Frywald na Śląsku czeskim, niedaleko Głuchołaz, znany też pod nazwą Jesionik – pol., lub Jesienik – czes.] w pobliżu Grefenbergu. Stęskniony za ojczystym powietrzem i rodzinną mową, powrócił znowu do Galicji, a zawsze jedna i taż sama miłość Boga i bliźnich, jedna i taż sama chęć stania się im użytecznym, przewodniczyła wszystkim krokom jego.

W pierwszych latach apostolstwa swego zbliżony do wiejskiego ludu pokochał go ojcowskim sercem i jemu szczególniej poświęcić się postanowił. Ale miłość ta nie była ślepą; znał on aż nadto dobrze wady i złe skłonności w nim zakorzenione, i te wytępiać i prostować usiłował. Widząc, że pierwszą przyczyną zepsucia wieśniaków naszych, które tak opłakane wydało skutki, jest głównie nieznajomość prawdziwego ducha religii naszej i wypływających z niej zasad moralności, wykładał im tę świętą naukę w najrozmaitszy sposób, już to w pamiątkach jubileuszowych i misyjnych, już w czytaniach świątecznych, w żywotach świętych, powiastkach, drogach krzyżowych itp., a zawsze z dziwną i pełną wdzięku prostotą. Miał on szczególny a rzadki dar tłumaczenia prawd najwznioślejszych w sposób przystępny dla każdego wieku i stanu; umiał się zniżyć do pojęcia prostego ludu, nie wpadając w zwykłą ostateczność będącą skutkiem podobnych usiłowań, to jest pospolite i prostacze wyrażenia. Owszem we wszystkich powyżej przytoczonych pismach ujmuje nas nieporównany wdzięk, jasność, trafność a nawet wzniosłość poetyczna w porównaniach, jakich zwykle używał dla lepszego wyłożenia myśli swojej. To też każdą z tych książeczek przeznaczonych głównie dla wiejskiego ludu można czytać z upodobaniem i pożytkiem, wyjąwszy naturalnie ustępy wyłącznie do wieśniaków zastosowane. Dziś trudno nawet policzyć te drobne pisemka, które jak zdrowe ziarno zbawiennej nauki rozsiały się pomiędzy polskim ludem i prędzej czy później obfity plon przyniosą.

W roku 1850 Kraków nasz stary powitał w swych murach ks. Antoniewicza, powitał go w tej bolesnej chwili, kiedy straszliwy pożar zniszczył w paru godzinach drogie świetnej przeszłości pamiątki, a nieszczęśliwych mieszkańców przytułku i mienia pozbawił. Jak ów prorok starego zakonu stanął apostoł Pański na zgliszczach ogniem strawionych świątyń i wyrzekł do znękanych boleścią Krakowian pierwsze wzniosłe słowa współczucia, pociechy i nadziei. Rok blisko bawiąc w mieście naszym, wymową i gorliwością swoją zgromadzał do kościołów naszych tłumy pobożnych, garnących się do niego z dziecinną miłością i ufnością jakby do ojca, pocieszyciela i posłannika Bożego w tej srogiej klęsce, jaka nas dotknęła. I on też pokochawszy serdecznie nasze biedne miasto, podwajał sił, aby uświęcić boleść jego, zebrać w jeden kielich łzy gorzkie i złożyć u stóp krzyża jako ofiarę pokutną za przeszłość, modlitwę błagalną o przyszłość. Sam z Bogiem ściśle złączony chciałby był wszystkich do niego przyciągnąć, jego miłością natchnąć, niebo przychylić ziemi, a ziemię podnieść do nieba. Pobożność jego daleka od przesady i źle zrozumianej gorliwości, pokorna, serdeczna, rzewna, pełna wyrozumienia i pobłażania dla słabości ludzkich, wszystkich pociągała, wszystkie mu serca jednała, we wszystkich budziła uwielbienie i chęć naśladowania. Przeszedłszy szkołę nieszczęścia, poznawszy własnym doświadczeniem najdotkliwsze boleści, tym żywiej umiał czuć cierpienia bliźnich, tym tkliwiej umiał ich pocieszać. Nieść cierpiącym słowo serdecznego współczucia, płakać z płaczącymi, ocierać łzy ich, koić wszelkiego rodzaju boleści, być wszędzie i zawsze aniołem pociechy, oto posłannictwo tej pięknej duszy, doświadczonej w najboleśniejszych próbach, uświęconej cierpieniem; posłannictwo zaiste święte i święcie też spełniane przez cały ciąg pełnego zasług żywota.

W połowie roku 1851 ks. Antoniewicz powołany wraz z towarzyszami swymi na Śląsk górny, tam znowu działał cuda wymową swoją, ściągając nieraz kilkunastotysięczne tłumy na misje odbywane

po wsiach i miasteczkach; jednając sobie serca ludu, który swą miłość i uwielbienie zamknął w jednym prostym imieniu „poczciwego", którym nazwał apostoła swego i pod jakim pamięć jego długo żyć będzie w stronach gorliwą pracą uświęconych.

Misje odbywane na Śląsku pod przewodnictwem ks. Antoniewicza rozpoczęły się w Piekarach niemieckich, gdzie do spowiedzi przeszło 60.000 przystępowało. Następnie odprawiły się misje w górach tarnowskich, Woźnikach, Biskupicach, Mysłowicach, Cwiklicach, Pszczynie, Toszku i Bytomiu. Wszędzie pomimo niesposobnej pory, gdyż był to właśnie czas żniwa, napływ ludu był tak wielki, że kościoły objąć go nie mogły i nabożeństwa odbywały się pod gołym niebem. W ciągu każdej z tych misji, odprawiającej się zazwyczaj przez tydzień, bywało po 8 do 10 nauk dziennie, a lud trwający wiernie pomimo deszczu i upałów letnich, nie mógł jeszcze nasycić się słowem Bożym opowiadanym w mowie jego ojczystej, polskiej, którą wśród najnieprzyjaźniejszych okoliczności przechowuje dotąd z rozrzewniającą miłością jako jedyną lepszej przeszłości spuściznę, i po skończeniu jednej misji całymi kompaniami spieszył na drugą.

Łatwo sobie wyobrazić, jakiej to gorliwości wymagało zadośćuczynienie tak silnie rozbudzonym potrzebom religijnym. Podołali tej pracy księża misjonarze wsparci uczuciem miłości bliźniego, która podwajała ich siły i do coraz nowych pobudzała poświęceń. A pomiędzy nimi odznaczał się ks. Antoniewicz nie tylko niezrównaną gorliwością, niepospolitą wymową, pełną świętego ognia i prawdziwie ewangelicznej prostoty, ale oraz wyłącznym a niepojętym darem jednania sobie serc ludzkich. Sam widok jego, sam dźwięk głosu już poruszał i rozrzewniał zgromadzone tłumy garnące się do niego z taką czcią, miłością i ufnością, jak gdyby na czole jego jaśniała widna każdemu oku aureola świętości, znamię Boskiego jego posłannictwa. Gdy przez tłumy ludu ks. Antoniewicz przeciskał się do kazalnicy, wznosiły się zewsząd głosy wdzięczności i uwielbienia; matki podnosiły ku niemu swe dziatki prosząc,

aby je pobłogosławił; każdy cisnął się, aby ujrzeć z bliska drogie oblicze Poczciwego, tak go powszechnie zwano, lub przynajmniej dotknąć się kraju szaty jego. A święty kapłan, im więcej dowodów czci powszechnej odbierał, tym więcej się uniżał, tym głębiej upokarzał przed Bogiem, jemu jedynie przypisując cudowne niemal skutki swych prac apostolskich.

Z wiosną 1852 r. podobne misje i z podobnym skutkiem rozpoczął w poznańskim, gdzie też wkrótce do nowych prac i poświęceń otworzyło mu się pole. Pomimo że duchowieństwo, obywatele i lud w wielkim księstwie poznańskim powitali z uniesieniem misjonarzy, na których czele stał kapłan owiany urokiem świętości, znany z nauki, wymowy i gorliwości, misje napotykały tutaj na wielkie przeszkody wynikające z miejscowych stosunków nieprzyjaznych katolicyzmowi. Po wielu zabiegach i staraniach odbyła się nareszcie misje w Krobi najpomyślniejszym uwieńczona skutkiem. Ożywienie religijnego ducha, pojednanie zaciętych nieprzyjaciół, powrócenie krzywd i kradzieży, usunięcie wielu zgorszeń, oto owoce nauk głoszonych wymownymi usty księży misjonarzy, którym sami protestanci najchlubniejsze oddawali świadectwa. Cokolwiek bądź, misje szły ciągle oporem wstrzymywane i opóźnione pod rozmaitymi pozorami. Zaledwie zdołano uzyskać pozwolenie na odbycie misji w Krzywinie, Kościanie, Niechanowie i Raszkowie. Tej ostatniej jednak zabroniono, pomimo że już zebrało się mnóstwo ludu, pod pozorem cholery, której pierwsze wypadki zaczynały się pojawiać na granicach Wielkopolski. Wybuchnęła też wkrótce ta straszna plaga z całą siłą, a misjonarze rozbiegli się po kraju, wspierając pomocą swoją duchowieństwo miejscowe i dając wszędzie przykłady największego poświęcenia.

Któż nie pamięta tej strasznej plagi, jaka w tym roku nawiedziła polskie ziemie, tysiącom wydzierając życie, tysiące okrywając żałobą? Okropna klęska cholery srożyła się i w poznańskim, urągając usiłowaniom najbieglejszych lekarzy. Ks. Antoniewicz bawił

właśnie w Kościanie i tam oddał się cały na posługi nieszczęśliwych. Odwaga i poświęcenie jego były bez granic; we dnie i w nocy pracował bez wytchnienia z całym natężeniem siły ducha, którą wspierał i krzepił upadające w nadludzkim wysileniu ciało. Dla tkliwej jego duszy widok cierpień dotkniętych zarazą, widok żalu i rozpaczy tych, co tracili najdroższe sercu istoty, był tak rozdzierający, że, jak sam pisał, gdyby nie silna wola, którą nakazał sercu milczenie, jeżeli nie na cholerę, z boleści byłby umarł. Wyszedł jednak zwycięsko z tego niebezpieczeństwa, ale tak był zmęczony fizycznie, tak skołatany na duszy, że koniecznie potrzebował wypoczynku. Pomimo to pośpieszył jeszcze do Poznania, gdzie podczas różańcowego nabożeństwa, odprawiającego się w kościele XX. Dominikanów, kazał przez cały tydzień przy wielkim natłoku słuchaczy. Jak wszędzie, tak i tutaj słowo jego silne całą potęgą wiary, natchnione miłością i pragnieniem zbawienia bliźnich, wywierało nieopisany wpływ na umysły wszystkich, nawet najmniej skłonnych do podobnych wrażeń. Ustąpiły też niebawem zastarzałe przesądy i uprzedzenia, a powszechna cześć i uwielbienie otoczyły kapłana, który tak wzniosły wzór apostolskiej gorliwości i poświęcenia przedstawiał.

W końcu października 1852 r. przybył ks. Antoniewicz do drogiego mu zawsze Krakowa, chcąc tutaj wytchnąć przez parę tygodni. Z jakąż radością i rozrzewnieniem ujrzeliśmy go znowu pośród nas z tąż samą anielską słodyczą na twarzy, z tąż samą pogodą na czole opromienionym nowych zasług aureolą. Krótka atoli była radość nasza, władze bowiem miejscowe kazały mu bezzwłocznie opuścić miasto. Wyjechał więc ks. Karol po trzech dniach pobytu rozżalony, zmartwiony tą przeciwnością tym bardziej, iż żegnał się z Krakowem na zawsze, silne bowiem bliskiej śmierci przeczucie, już od paru miesięcy ogarniające duszę jego, odezwało się smętnie przy rozstaniu. Ks. arcybiskup Przyłuski oddał Jezuitom dawny klasztor Cystersów w Obrze [Obra, niegdyś opactwo Cystersów, na granicy Brandenburgii w obwodzie babimojskim w pobliżu miasteczka

Wolsztyna – przypis Autorki]. Ks. Antoniewicz obrany przełożonym udał się tam prosto z Krakowa tym spieszniej, gdy się dowiedział, że cholera znowu wybuchła w tamtej okolicy. W dzień swoich imienin 4 listopada wieczorem przybył do Obry i z rozrzewnieniem powitał mury klasztoru, za którego ciszą tęsknił przez cztery lata tułactwa. W niedzielę następną, 7 listopada przemówił jeszcze do licznie zebranego ludu tak pięknie i tkliwie, jak tylko najlepszy ojciec do dzieci swoich przemawiać umie. Były to już ostatnie nauki, ostatnie przestrogi, jakie wyszły z ust apostoła naszego; tejże samej bowiem nocy zasłabł na cholerę. Spieszny ratunek odwrócił wkrótce pierwsze niebezpieczeństwo, ale zaraz potem nastąpił tyfus tak gwałtowny, że wszelka pomoc lekarska była bezskuteczną.

Od samego początku słabości ks. Antoniewicz nie wątpił ani na chwilę, że nadeszła ostatnia jego godzina; zaraz więc przygotował się na śmierć. Z tąż samą łagodnością, cierpliwością i pokojem, jakim tchnęło całe jego życie, znosił cierpienia krótkiej, lecz przykrej choroby, dziękując Bogu, że mu dozwala w celce zakonnej pomiędzy braćmi umierać, oddając się miłosierdziu jego z ufnością i miłością synowską. Widząc, jak był jeszcze potrzebnym na ziemi, przeczuwając, jaką boleścią zgon jego zrani przychylne mu serca, nie pragnął śmierci, owszem chciał żyć, aby dalej dla dobra bliźnich pracować. Przyjmował też ochotnie niesioną mu pomoc, a nawet przy nadchodzącym dniu św. Stanisława Kostki ślubował, że jeżeli przyjdzie do zdrowia, napisze żywot tego świętego. Ale Bóg chciał już wynagrodzić wiernego sługę za tyle poświęceń i pracy, chciał po życiu pełnym cierpień obdarzyć go trwałym pokojem i weselem; nie wysłuchał więc modlitw tych wszystkich, co go znali, a tym samym kochali, uwielbiali i życie jego więcej niż własne cenili, a teraz gorącymi łzami oblewali stopnie ołtarzy. Siódmego dnia choroby, 14 listopada w niedzielę pod wieczór ks. Antoniewicz oddał czystego ducha w ręce niebieskiego Ojca, mając lat 45.

Czyj pióro opisać zdoła żal, jakim przejął wszystkich zgon

jednego biednego zakonnika? Od pałaców książęcych do chatek wieśniaczych i szałasów huculskich płakali wszyscy jakby po stracie ojca, pocieszyciela, dobroczyńcy i przyjaciela, a jęk ten bolesny rozlegający się od brzegów Warty i Obry aż do Prutu i Dniestru, rozgłośnym echem odbił się i w dalszych prowincjach polskich, a nawet w Paryżu, gdzie bawiący podówczas Polacy zebrali się w żałobne grono dla oddania czci temu, który tak gorąco ojczystą kochał ziemię i dla dobra rodaków poświęcił życie aż do ostatniego tchnienia. We wszystkich niemal miastach i miasteczkach Wielkiego Księstwa i Galicji odprawiły się nabożeństwa za duszę zgasłego. Najznakomitsi kaznodzieje w tkliwych mowach wyrażali żal powszechny nad tą wielką stratą, jakąś my w osobie ks. Karola podnieśli; ale nierównie wymowniej i rzewniej świadczyły o nim łzy zbierających się tłumnie na te żałobne obrzędy.

W pierwszą rocznicę śmierci ks. Antoniewicza, 14 listopada 1853 r. odkryto uroczyście pomnik wzniesiony mu w kościele w Obrze, gdzie spoczywają zwłoki jego. Na marmurowej tablicy obok napisu łacińskiego położonego przez braci zakonnych, umieszczono następujący pióra jednego z poetów naszych:

Z krzyżem w ręku nad polskim gorejący ludem,
starłeś go i podniosłeś słowa Twego cudem;
Krzepiłeś go w niedoli nadzieją i wiarą,
dla niegoś żył jedynie i dlań padł ofiarą.
Dziś Cię szuka w twym grobie, przez łzy widzi w niebie
i modląc się za Tobą modli i przez Ciebie

Świętej pamięci ks. Karol Antoniewicz był wzrostu miernego; twarz jego nosząca wybitne cechy ormiańskiego pochodzenia, była wiernym duszy zwierciadłem. Na wysokim otwartym czole obok rozumu i powagi rozlany był pokój i pogoda żadną nie zachmurzona przeciwnością. Czarne oczy pełne wyrazu łagodnym lecz

nieco przygasłym świeciły blaskiem; przyćmiły zapewne ich żywość łzy tak hojnie wylane i pisanie przy świecy, którym zajmował się zwykle do późnej nocy. Lekki uśmiech zdobiący usta świadczył o dobroci serca i całej twarzy nadawał wyraz anielskiej, ujmującej słodyczy, wzbudzając zaufanie od pierwszego spojrzenia. Jakkolwiek na pierwszy rzut oka twarz ks. Karola zawsze pogodna wydawała się nawet wesołą, wpatrzywszy się jednak lepiej można było dostrzec na niej śladów przebytych cierpień i boleści siłą ducha zwalczanych. Cień tęsknego smutku powlekał to oblicze, niewysłowiona rzewność malowała się w oku, przebijała nawet w uśmiechu. W postawie jego, w ruchach tyle było prostoty, że nie powiem zaniedbania, iż nikt by się w nim nie domyślił tak znakomitego męża.

Głos miał niezwyczajnie mocny i donośny, ale pomimo to łagodny i miły. Kazał zawsze z pamięci; mówiąc nie unosił się, prawie żadnych nie czynił gestów, mówił spokojnie, poważnie, jakby ojciec z dziećmi rozmawiał. Słowa jego płynące z serca pełne prostoty miały już same w sobie moc przekonywającą i pomimowolnie wciskały się w serca słuchaczy, którzy głośno powtarzanymi błogosławieństwami odpłacali posłannikowi Bożemu każdą naukę jego. Gdy jednak przedmiot tego wymagał, zwłaszcza w mowach przygodnych, umiał ks. Antoniewicz przemawiać z zapałem i uniesieniem młodzieńczym. Głos jego potężny podnosił się wówczas do niezwykłej siły odpowiedniej zupełnie mocy wyrażeń płynących z ust jego złotych słów potokiem. Wtenczas był on zaiste mężem duchem Bożym natchnionym, potęgą słowa wzruszającym, porywającym w jednej chwili serca słuchaczy i niezatarte czyniącym na nich wrażenie.

Niech mi wolno będzie przytoczyć tutaj ustęp, w którym śp. ks. metropolita Hołowiński [s. Ignacy Hołowiński (1800–1855) był wybitnym polskim duchownym rzymskokatolickim, arcybiskupem metropolitą mohylewskim oraz zwierzchnikiem wszystkich kościołów rzymskokatolickich w Cesarstwie Rosyjskim. Ceniono

go jako znakomitego teologa, rektora Akademii Duchownej w Petersburgu, pisarza, tłumacza (m.in. Szekspira) i kaznodzieję – przypis TSK] określa charakter wymowy św. Jana Złotoustego, gdyż zdanie to znakomitego pisarza w zupełności można zastosować do ks. Antoniewicza i da ono najlepsze wyobrażenie w wymowie jego.

„Jest rzeczą arcyważną zastanowić się, jaka myśl główna przewodniczyła temu największemu mówcy w chrześcijaństwie. Oto zupełne zaparcie miłości własnej, nie chęć oklasków i sławy, największa miłość tych, do których mówił, najgwałtowniejsza chęć pożytku słuchaczów, co się w każdej jego mowie dziwnie wyświeca. Ta przeto miłość najsilniejsza była jedynym sterem w nauczaniu, ta rozwinęła pracą wszystkie jego zdolności, ta nie dała mu gonić za czym innym, jak tylko za pożytkiem słuchaczów, ta wyrobiła dziwny w nim przymiot, że w swoim wysłowieniu przy całej wzniosłości myśli, obrazów i słów zawsze jest łatwy, jasny i dostępny dla wszystkich; ta go wreszcie ustrzegła od wszelkiej przesady, od złego gustu, od wyszukanych ozdób, co wszystko rodzi się z próżności, z upędzania się za sławą i z chęci popisu, a nie zbawienia dusz ludzkich. Albowiem w kaznodziejstwie to samo stosuje się, co Chrystus Pan powiedział o duszy, że kto ją straci dla Boga, znajdzie ją, a kto jej szuka, zgubi ją. Św. Jan, co nie myślał o wymowie, stał się najwymowniejszym i złotoustym; wdziękiem swym naturalnym przechodzi wszelką sztukę, choć mu jej wszystkie tajniki dobrze były znane; w nauczaniu pełen prostoty i jasności, w opisach dziwnie malowniczy, w uczuciach, w upominaniach i zachętach podnosi się do największej szczytności, do nadzwyczajnej rzewności i do piorunującej energii“. *Homiletyka przez śp. ks. Ignacego Hołowińskiego, arcybiskupa mohylewskiego*, Kraków, 1850, s. 124 — 126].

Podając obecnie zbiór poezji ks. Antoniewicza, wyrażam oraz gorące życzenie objawione już poprzednio w jednym z pism naszych periodycznych, aby wszystkie dzieła zmarłego w zupełnym i dokładnym zebrać wydaniu. Dziełka te drukowane pospiesznie, tak

jak wychodziły spod pióra lub raczej wypływały z serca natchnionego kapłana, rozproszyły się po kraju w ulotnych broszurkach, a pomimo że niektóre po kilka miały wydań, wyszły już po większej części z obiegu księgarskiego. W odleglejszych prowincjach Polski wcale nie, lub bardzo mało znają te pisma, w których każdy znajdzie odpowiednie potrzebom serca swego karty; należałoby obznajmiać z nimi rodaków, z powszechnego jedynie odgłosu wiedzących o mężu mającym tak słuszne prawo do wdzięczności całego narodu.

Zwracamy szczególną uwagę na pisma wyłącznie dla wiejskiego ludu przeznaczone, w których w sposób jak najprzystępniejszy wyłożone są przepisy moralności chrześcijańskiej będącej główną podstawą i niezbędnym prawdziwej oświaty warunkiem. Rozpowszechnienie ich przez wydania poprawne, po cenie przystępnej dla ubogich wiosek naszych mieszkańców, byłoby zaiste wielką zasługą i niejako uzupełnieniem miłością kraju natchnionej pracy ks. Antoniewicza, a zarazem najlepszym dowodem należnego ocenienia gorliwych usiłowań jego i najtrwalszym wdzięcznej pamięci pomnikiem.

[W dalszej części tego teksty Autorka prezentuje szczegółowe zestawienia biograficzne i bibliograficzna, które w niniejszym wydaniu pomijamy – przypis TSK].

Opracowanie tekstu **Tadeusz Skoczek**

Publikacja powstała
w Muzeum Niepodległości w Warszawie

Grafika Karola Bołoza Antoniewicza
pochodzi z zasobów POLONY

ISBN 978-83-61924-08-1

Realizacja poligraficzna

Fundacja im.
Władysława Orkana